

JUTRO

Mam na imię Ellie. Kilka dni temu wybraliśmy się w siedem osób na wyprawę do samego Piekła. Tak nazywa się niedostępne miejsce w górach. Wycieczka była próbą naszej przyjaźni. Niektórych z nas połączyło nawet coś więcej.

Szczęśliwi wróciliśmy do domu. Ale to był powrót do piekła. Znaleźliśmy martwe zwierzęta, a nasi rodzice i wszyscy mieszkańcy miasta zniknęli.

Okazało się, że naszego świata już nie ma.
Że nie ma już żadnych zasad.
A jutro musimy stworzyć własne.

Jutro to pierwsza z siedmiu części serii. Kolejny tom ukaze się w czerwcu.
Na podstawie książki powstał film *Tomorrow, When The War Began*.

Jutro to fenomen: nie tylko największy młodzieżowy bestseller w historii Australii, ale i książka przekraczająca granice wiekowe. Seria otrzymała kilkadziesiąt nagród w Australii, Stanach Zjednoczonych, Szwecji i Niemczech. W USA znalazła się na liście najlepszych książek dla młodzieży, a w Szwecji na pierwszym miejscu na liście książek polecanych przez nastolatków.

MBP Cieszanów
Jutro, kiedy zaczęła się...



M000008552



WW

znak litera nova



JOHN MARSDEN

JUTRO

WEJDŹ NA
WWW.SERIAJUTRO.PL
WYGRAJ WYCIECZKĘ
I INNE NAGRODY

JOHN MARSDEN

JUTRO

NIE MA JUŻ ŻADNYCH ZASAD

PONAD 4 MILIONY FANÓW NA CAŁYM ŚWIECIE!



9

Fi obudziła mnie koło jedenastej. Tak się umówiliśmy, ale znacznie łatwiej się umówić, niż wywiązać z umowy. Byłam ociężała, powolna i czułam się głupia. Wdrapanie się na drzewo wydało mi się męczarnią. Stałam obok pnia i przez pięć minut na niego patrzyłam, zanim w końcu wykrzesalam z siebie trochę energii.

Niektórzy ludzie budzą się szybko, a inni powoli. Ja budzę się półżywa. Ale wiem z doświadczenia, że jeśli posiedzę z pół godziny, stopniowo nabiorę sił. No więc siedziałam w domku na drzewie w stanie letargu, wpatrywałam się w biegnącą w oddali drogę i cierpliwie czekałam, aż moje ciało znowu zacznie normalnie funkcjonować.

Kiedy już się przyzwyczaiłam, siedzenie w domku na drzewie okazało się całkiem znośne. Z niedowierzaniem zdałam sobie sprawę, że minęło zaledwie dwadzieścia godzin, odkąd wyjechaliśmy z lasu do tego nowego świata. Życie może się tak szybko zmienić. W pewnym sensie powinniśmy być przyzwyczajeni do zmian. Przeżyliśmy ich już wiele. Na przykład ten domek na drzewie. Ja i Corrie spędziłyśmy wiele godzin pod jego cienistym dachem, organizowałyśmy uroczyste podwieczorki, życie towarzyskie naszych lalek, bawiłyśmy się w szkołę, szpiegowaliśmy postrzygaczy, udawałyśmy, że jesteśmy więźniami, którzy zostali tam uwięzieni.

Wszystkie nasze zabawy były imitacją rytuałów dorosłych i życia dorosłych, chociaż wtedy oczywiście jeszcze o tym nie wiedziałyśmy. Pewnego dnia przestałyśmy się bawić. Przez parę miesięcy obywateliśmy się bez naszych ulubionych zabaw, a potem, na początku wakacji, wyjęłam lalki i próbowałam zacząć od nowa. Okazało się, że to niemożliwe. Czar prysł. Prawie zupełnie zapomniałam, jak to się robi. Usiłowałam odtworzyć nastrój, scenariusze, sposób, w jaki lalki się poruszały, myślały i mówiły. Ale to wszystko przypominało czytanie bezsensownej książki. Byłam w szoku, że to tak szybko minęło, smutna z powodu tego, co straciłam, i trochę wystraszona tym, co się ze mną stało i czym teraz wypełnię godziny przyszości.

Nagle z dołu dobiegł jakiś dźwięk. Wyjrzałam i zobaczyłam rudą głowę Corrie, która wdrapywała się na drzewo. Przesunęłam się, żeby zrobić jej miejsce i po chwili usiadła obok.

– Nie mogłam się powstrzymać – wyjaśniła. – Tyle myśli kłębi mi się w głowie.

– Ja spałam, ale nie mam pojęcia jak.

– Śniły ci się koszmary?

– Nie wiem. Nigdy nie pamiętam snów.

– Nie tak jak ten Theo jak mu tam ze szkoły. Codziennie rano na lekcji wychowawczej opowiadał nam swój najnowszy sen, ze wszystkimi szczegółami. Strasznie przynudzał.

– Po prostu był nudziarzem, i tyle.

– Ciekawe, co się z nimi teraz dzieje – powiedziała Corrie. – Mam nadzieję, że wszyscy są na terenie wystawowym. Mam nadzieję, że nic im się nie stało. Nie potrafię myśleć o niczym innym. Ciągłe przypomina mi się to, o czym czytaliśmy na historii na lekcjach o drugiej wojnie światowej, Kambodża i tak dalej, a mój mózg normalnie nie wytrzymuje naporu tego przerażenia. A potem myślę o tym, jak ci żołnierze do nas strzelali i jak krzyczeli, kiedy wybuchła kosiarka.

Markotnie skubała kawałek kory.

– Ellie, po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Inwazje zdarzają się w innych krajach i oglądamy je w telewizji. Nawet jeśli to przeżyjemy, wiem, że już nigdy nie poczuję się bezpieczna.

– Myślałam o zabawach, jakie tu sobie urządzałyśmy.

– Tak. Tak. Uroczyste podwieczorki. I strojenie lalek. Pamiętasz, jak wymalowałyśmy je wszystkie szminką?

– A potem nam się znudziło.

– Mhmm, po prostu nam przeszło, prawda? Chyba dorosłyśmy. Zaczęły nas interesować inne sprawy, na przykład chłopaki.

– To były takie niewinne czasy. Wiesz, kiedy poszłyśmy do liceum i tak dalej, przypominałam sobie tamte dni, uśmiechałam się i myślałam: „Boże, jaka ja byłam niewinna!”. Święty Mikołaj, zębówce wróżki i przekonanie, że mama wieszka twoje rysunki na lodówce dlatego, że to dzieła sztuki. Ale dzisiaj coś zrozumiałam, Corrie. Nadal byłyśmy niewinne. Aż do wczoraj. Nie wierzyłyśmy w Świętego Mikołaja, ale miałyśmy inne złudzenia. Sama to powiedziałaś. I dobrze to ujęłaś. Wierzyłyśmy, że jesteśmy bezpieczne. To było jedno wielkie złudzenie. Teraz wiemy, że to nieprawda i, jak powiedziałaś, już nigdy nie poczujemy się bezpieczne, więc żegnaj, niewinności. Miło było cię poznać, ale nic tu po tobie.

Siedziałyśmy i patrzyłyśmy nad polami na ciemny fragment drogi w oddali, który przecinał krajobraz jak cienki czarny wąż. To tam pojawiają się ludzie, którzy przyjdą nas szukać. Teraz nie było tam jednak żadnego ruchu. Jedynie ptaki śmigały tymi samymi torami co zwykle.

– Myślisz, że tu przyjdą? – zapytała po chwili Corrie.

– Kto? Żołnierze? Nie wiem, ale Homer wspomniał, że... że nie mają tylu ludzi, żeby przeszukać cały rejon. Chyba miał sporo racji. Widzisz, moja teoria brzmi tak: wykorzystują tę dolinę jako korytarz prowadzący do dużych miast. Domyślam się, że wylądowali w Zatoce Szewca i zależy im głównie na tym, żeby

przycząć się w Wirrawee i zdobyć dobry dostęp do reszty kraju. Zatoka Szewca to wielki port. Pamiętasz, że nie mogliśmy jej zobaczyć, kiedy wychodziliśmy z Piekła, bo na niebie wisiały chmury. Założę się, że teraz cumuje tam mnóstwo statków, a autostradą suną samochody. Nikt nie uznałby Wirrawee za główny cel. Nie ma tu tajnych wyrzutni rakiet ani elektrowni jądrowych. A przy najmniej nie było, kiedy patrzyłam po raz ostatni.

– Sama nie wiem – powiedziała Corrie z powątpiewaniem. – Nigdy nie wiadomo, co knuła pani Norris w szkolnym laboratorium chemicznym.

– W tej chwili złaćcie z drzewa, smarkule! – odezwał się głos na dole.

Nie musiałyśmy patrzeć, żeby wiedzieć, do kogo należy.

– Świetne z was wartowniczeki, nie ma co – ciągnął Homer, wdrapując się do nas. – Poza tym słyszałem, co mówiłyście o pani Norris, mojej ulubionej nauczycielce. Wszystko jej powiem, kiedy wrócimy do szkoły.

– Jasne, za jakieś dwadzieścia lat.

– Czy to nie na jej lekcji wyszedłeś przez okno i spuściłeś się po rynnie? – zapytałam.

– Bardzo możliwe – przyznał Homer.

– Co? – roześmiała się Corrie.

– No wiesz, zrobiło się trochę nudno – wyjaśnił Homer. – Jeszcze nudniej niż zazwyczaj. Pomyślałem, że wyjdę. Okno było bliżej niż drzwi, więc kiedy pani Norris się odwróciła, żeby coś napisać na tablicy, wlałem na parapet i spuściłem się po rynnie.

– I wtedy napatoczyła się pani Maxwell – wtrąciłam.

– I zapytała: „Co ty wyrabiasz?”

– Całkiem sensowne pytanie – powiedziałam.

– No więc wyjaśniłem jej, że przeprowadzam inspekcję instalacji wodno-kanalizacyjnej – dokończył Homer, spuszczaając głowę, jakby nagle przypomniał sobie burzę, która się potem rozpętała.

Tak bardzo się śmiałyśmy, że o mało nie spadłyśmy z drzewa.

– Słyszałam, że ludzie już dawno zeszli z drzew – podsumowała Corrie – ale tobie jeszcze trochę brakuje.

Przerwał nam znajomy dźwięk. Przestaliśmy rozmawiać i wyciągnęliśmy szyje, wpatrując się w niebo.

– Jest tam – powiedziała Corrie, pokazując palcem. Nad wzgórzami głośno sunął odrzutowiec. Leciał tak nisko, że widzieliśmy oznaczenia.

– To jeden z naszych! – ucieszył się Homer. – Jeszcze nie wypadliśmy z gry!

Samolot wzniósł się, żeby przelecieć nad górką grzbietem, a potem skręcił w lewo i pognął w stronę Stratton.

– Patrzcie! – zawołała Corrie.

Tuż za odrzutowcem leciały trzy inne, ciemne i złowrogie. Leciały trochę wyżej, ale w tym samym kierunku. Hałas był ogłuszający, rozrywał spokojne niebo i ziemię jak długi odpinany rzep. Homer wycofał się na swoje miejsce przy pniu.

– Trzy na jednego – powiedział. – Mam nadzieję, że uda mu się uciec.

– Jemu albo jej – mruknęłam zamyślona.

Długi dzień mijał powoli. Kiedy wszyscy wstali, zjedliśmy późny lunch, a potem bez końca rozmawialiśmy o Lee i Robyn, o tym, gdzie mogą teraz być i co mogło się z nimi stać. Po chwili zdaliśmy sobie sprawę, że ze zmęczenia w kółko powtarzamy to samo. Homer milczał przez jakieś dziesięć minut i kiedy nasze głosy ucichły, wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Może to naturalne, kiedy ktoś się nie odzywa. A może zaczęliśmy widzieć w Homerze przywódcę. Najwyraźniej tego nie zauważył. Po prostu zaczął mówić na takim luzie, jakby już wszystko rozpracował.

– Mam pomysł – powiedział. – Znam moje zdanie na temat trzymania się w kupie. Może jest wtedy miło, ale tak naprawdę to głupie. Musimy stać się twardsi, i to szybko. To, że lubimy być razem,

nie ma już znaczenia. Rozumiecie? No więc proponuję, żeby dwoje z nas poszło do Wirrawee poszukać Lee i Robyn. Jeśli nie znajdą się, powiedzmy, do północy, nasza dwójka zakradnie się do domu Lee, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się tam nie ukryli i czy nie są ranni.

– Myślałam, że już nie wierzysz w przyjaźń – powiedział Kevin. – Zakradanie się do domu Lee jest cholernie ryzykowne, jeśli tak bardzo obawiamy się o własną skórę.

Homer zmroził go spojrzeniem i nawet Corrie przewróciła oczami.

– Nie robię tego dla przyjaźni – powiedział Homer. – Dokładnie to przemyślałam. Lepiej, jeśli będzie nas siedmioro niż pięcioro, więc podejmujemy ryzyko, żeby spróbować zwiększyć liczebność do siedmiu osób.

– A możemy zostać we trójkę.

– Albo nie zostanie nikt. Od tej pory wszystko jest ryzykiem, Kev. Nigdzie i nigdy nie będziemy bezpieczni, dopóki to się nie skończy. Możemy jedynie szacować szanse. Jeśli to potrwa długo, na pewno nas złapią. Ale jeśli będziemy siedzieć bezczynnie, złapią nas jeszcze szybciej. Największe ryzyko to nie podejmować żadnego ryzyka. Albo podejmować zbyt duże ryzyko. Musimy wypośrodkować. To jasne, że ten, kto pójdzie szukać Lee i Robyn, będzie musiał zachować niesamowitą ostrożność. Ale jestem pewien, że potrafimy o siebie zadbać.

– A co z pozostałą trójką? – zapytał Kevin. – Będzie tu siedzieć, jeść i spać? Szkoda, że nic nie ma w telewizji.

– Nie – powiedział Homer. Pochylił się do przodu. – Oto moja propozycja. Wpakują do toyoty Corrie wszystkie przydatne rzeczy, jakie uda im się znaleźć. Potem pojedą do Kevina i zrobią to samo. A jeśli starczy czasu, do mnie i do Ellie. Wezmą land-rovera spod domu Kevina i jego też załadują. Mam na myśli jedzenie, ubrania, benzynę, strzelby, narzędzia, wszystko. Rano chcemy mieć dwa pojazdy wypakowane po dach i gotowe do drogi.

Tymczasem Kevin ukradkiem próbował wpisać na listę kilka dodatkowych rzeczy, z których najważniejsze wydawały mu się chyba kondomy. Gdy tylko je wpisał, Corrie je wykreślała, aż w końcu na liście było tyle samo skreśleń co przedmiotów. Ale kiedy przeszliśmy do broni, spowaźniał.

– Mamy dwie strzelby i śrutówkę. Jedna strzelba to tylko dwudziestka dwójka, ale druga to kaliber dwieście dwadzieścia dwa. Śrutówka to cacko, kaliber dwanaście. Do strzelb jest mnóstwo nabojęw, do śrutówki mniej. Chyba że tata uzupełnił zapas, kiedy nas nie było, chociaż wątpię. Wspominał o tym, ale raczej nie wybierał się do miasta przed Dniem Pamięci, a wtedy sklep z nabojami był zamknięty.

Poza tym mieliśmy jedynie horneta kaliber dwieście dwa i małą czterysta dziesiątkę. Mój ojciec miał strzelbę kaliber trzysta trzy, ale amunicja tak bardzo podrożała, że pewnie już jej nie kupował.

Właśnie wyjaśniałam reszcie, gdzie trzymamy naboje. Domyślałam się, że będę jedną z tych, którzy wyruszą do miasta. Nagle usłyszeliśmy w oddali niepokojący hałas. Przypominał dźwięk samolotu, ale był głośniejszy, mniej regularny i bardzo szybko się zbliżał.

– To helikopter – powiedziała wystraszona Corrie. Podbiegliśmy do okien.

– Odsuńcie się od okien, do cholery – wrzasnął Homer, a potem zwrócił się do mnie: – Zapomnieliśmy postawić kogoś na warcie. – Wypluł z siebie serię rozkazów: – Kevin, idź do salonu, Fi do łazienki, Corrie do swojego pokoju, Ellie na oszkloną werandę. Patrzcie uważnie przez okno, czy nikt się nie zbliża drogą albo przez pola. Przekazujcie mi informacje do gabinetu. Idę po dwudziestkę dwójkę.

Zrobiliśmy, jak kazał. Wybrał cztery pokoje, które łącznie zapewniały pełny widok na otaczające nas pola. Wpadłam na

oszkloną werandę jak wielki zaskoczony karaluch, a potem stanęłam za zasłoną, owinęłam się nią i spojrzałam za okno. Nie widziałam helikoptera, ale go słyszałam – dudnił głośno, ochryple i zło-wrogo. Uważnie przyjrzałam się polom, ale nic nie dostrzegłam. Po chwili coś jednak przykuło mój wzrok. Była to mała suczka Flip drepcząca po podwórzu. Zrobiło mi się słabo. Na pewno ją zobaczę i co sobie pomyślę? Zdrowy pies radośnie spacerujący wokół domu, który od tygodnia powinien stać pusty? Zastanawiałam się, czy mam ją zawołać. Może jej nie zauważyli? Ale jeśli zareaguje na moje wołanie zbyt entuzjastycznie, mogą nabrać jeszcze większych podejrzeń. Postanowiłam, że nie zrobię nic, i dokładnie w tej chwili helikopter dał nura na moją stronę domu. Był wielki, brzydki i ciemny, przypominał potężną osę, bzyzącą, gapiącą się i krwiożerczą. Skuliłam się za zasłoną, bojąc się spojrzeć w twarz ludzi siedzących w środku. Czułam, że ich wzrok przenika przez ściany domu. Przykucnęłam, a potem wycofałam się wzdłuż ściany, wzdłuż drugiej, wybiegłam za drzwi i popędziłam do gabinetu, gdzie czekali pozostali.

– No i? – zapytał Homer.

– Nie ma żadnych żołnierzy – powiedziałam – ale Flip biega po podwórzu. Pewnie ją zauważyli.

– To wystarczy, żeby wzbudzić ich podejrzenia – stwierdził Homer. – Pewnie są wyczuleni na wszystko, co odbiega od normy. – Zaklął. – Musimy się jeszcze dużo nauczyć, o ile w ogóle uda nam się wyjść z tego cało. Ilu żołnierzy siedziało w śmigłowcu?

Dostał różne odpowiedzi: „Trudno powiedzieć”, „Chyba trzech”, „Nie widziałam”, „Trzech albo czterech, z tyłu mogło siedzieć jeszcze więcej”.

– Jeśli wylądują, prawdopodobnie się rozbiegną – głośno myślał Homer. – Dwudziestka dwójka na niewiele się przyda. Toyota nadal stoi przy szopie do strzyżenia owiec. Nie do wiary, że byliśmy aż tak głupi. Nie ma sensu nawet próbować do niej dotrzeć.

Wracajcie do tych samych pokoiów i obserwujcie. Próbuje policzyć żołnierzy. Ale nie dajcie im najmniejszej szansy, żeby was dostrzegli.

Pobiegłam z powrotem na oszkloną werandę, ale helikopter już zniknął. Mimo to jego paskudny gniewny warkot nadal wypełniał moją głowę, cały dom. Był w każdym pomieszczeniu. Popędziłam do gabinetu.

– Jest po zachodniej stronie – powiedział Kevin. – Wisi w powietrzu, nie ląduje.

– Słuchajcie – zaczął Homer – myślę, że jeśli wyląduje, mamy tylko dwie możliwości. Możemy się wymknąć drugą stroną i spróbować uciec do lasu pod osłoną drzew. Rowery na nic się nie przydadzą, a toyota jest poza zasięgiem. Będziemy uciekać pieszo, zdejście się na nasze mózgi i mięśnie. Druga możliwość to poddać się.

Zapadła ponura i przerażająca cisza. Tak naprawdę mieliśmy tylko jedną możliwość i Homer dobrze o tym wiedział.

– Nie chcę być martwym bohaterem – powiedziałam. – Chyba będziemy musieli zaryzykować i się poddać.

– Zgadza się – szybko przytaknął Homer, jakby bardzo chciał to powiedzieć, zanim ktokolwiek zaprotestuje.

Jedyną osobą, która mogła zaprotestować, był Kevin. Wszyscy czworo spojrzeliśmy na niego. Zawahał się, potem przełknął ślinę i pokiwał głową.

– W porządku.

– Wracajmy do salonu – powiedział Homer. – Zobaczymy, czy helikopter nadal tu jest.

Pobiegliśmy korytarzem, a potem Kevin ostrożnie wszedł do pokoju i przemknął do okna.

– Nadal tu jest – zameldował. – Nic nie robi, tylko obserwuje. Nie, zaraz... rusza się... schodzi trochę niżej...

Fi krzyknęła. Zerknęłam na nią. Przez całe popołudnie była bardzo milcząca. Wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć.

Chwyciłam ją za rękę, a ona ścisnęła moją tak mocno, że pomyślałam, że za chwilę to ja zemdleję.

Kevin komentował dalej:

– Gapią się prosto na mnie. Ale wątpię, żeby mogli mnie zobaczyć.

– Nie ruszaj się – polecił Homer. – Ruch może cię zdradzić.

– Wiem – oburzył się Kevin. – Myślałeś, że zacznę stepować?

Przez dwie następne minuty staliśmy jak manekiny na wystawie sklepowej. Mieliśmy wrażenie, że w pokoju robi się coraz ciemniej. Kiedy Kevin ponownie się odezwał, szeptał, jakby na korytarzu czaili się żołnierze.

– Rusza się... trudno powiedzieć... trochę w bok, trochę w górę, jeszcze trochę w górę. Może chce przelecieć na drugą stronę domu, żeby przyjrzeć się stamtąd.

– Tak czy siak, coś się stanie – powiedział Homer. – Przecież nie będą tu tak wisieć.

Fi ścisnęła mi rękę jeszcze mocniej, chociaż nie przypuszczałam, że to w ogóle możliwe. To było gorsze niż niesienie mnóstwa reklamówek wyladowanych karmą dla psa.

Kevin mówił dalej, jakby nie słyszał Homera:

– Dalej lecą w bok... teraz trochę wyżej... nie, jakby się wycofywali. No, dalej, piękna, wycofuj się. Tak, wycofują się i przyspieszają. O tak. Zrób jak dziewczyna hokeisty i zabierz stąd swój krążek. Tak! Tak! Odlatuj, leć do domu. – Odwrócił się do nas i beztrasko wzruszył ramionami. – Widzicie, musiałem tylko użyć swojego uroku.

Corrie sięgnęła po najbliższy leżący przedmiot i rzuciła w niego. Dźwięki wydawane przez helikopter zaczęły przypominać pracującą w oddali piłę łańcuchową. Przedmiotem, którym rzuciła Corrie, była mała figurka Matki Boskiej, którą na jej szczęście Kevin w porę złapał. Fi wybuchła płaczem. Homer niepewnie się uśmiechnął, a potem znów wkroczył do akcji.

– Spadajmy stąd – powiedział. – Mieliśmy szczęście. Nie stać nas na to, żeby znowu popełnić tyle błędów. – Zagonił nas wszystkich do salonu i wypędził frontowymi drzwiami. – Zorganizujemy naradę tutaj, żeby mieć dobry widok na drogę – wyjaśnił. – A teraz słuchajcie, powiem wam, co myślę. Jeśli to, co usłyszycie, wyda wam się kiepskie, mówcie. Jeśli nie, po prostu tak zrobimy, dobra? Nie mamy czasu na długie debaty. W porządku. Zaczniemy od psów. Od Flip i tego drugiego, który został w moim domu. Jak on się wabi?

– Millie – podsunęłam.

– Właśnie – powiedział Homer. – Millie. Musimy je porzucić. Zostawcie im tyle karmy, ile znajdziecie, ale nie możemy dla nich nic więcej zrobić. Po drugie, krowy. Zerknąłem na twoją, Corrie. Będziemy musieli ją zastrzelić. Pozostawienie jej na pastwę losu byłoby okrucieństwem.

Spojrzałam na Corrie. Słuchała tego, ale nie płakała.

Homer ciągnął dalej:

– Po trzecie, toyota. Teraz nie możemy jej już zabrać. Na pewno ją widzieli, więc jeśli zniknie, zauważą. Trzy osoby pakujące rzeczy do pojazdów będą musiały załadować wszystko, co się da, na rowery, pojechać do domu Kevina i zabrać stamtąd samochód, a potem wziąć jeszcze land-rovera Ellie. – Zerknął na Kevina, żeby się upewnić, czy to możliwe.

Kevin pokiwał głową.

– Ford nadal tam jest.

– Dobrze. Miałem nadzieję, że uda nam się stąd zabrać mnóstwo warzyw z ogródka mamy Corrie. Ale raczej nie będzie na to czasu, chyba że nocą. Myślę, że do wieczora powinniśmy się ukryć w lesie. Weźmy rowery i wszystko, co absolutnie niezbędne, a potem ruszajmy w drogę, bo mogą tu przysłać żołnierzy z miasta. Na pewno nie wyjdą stamtąd nocą, ale przed zmrokiem istnieje duże ryzyko. Wreszcie dzisiejszy wieczór – mówił

bardzo szybko, ale nie uroniliśmy ani słowa. – Myślę, że ja i Ellie powinniśmy pójść do miasta. Jeden kierowca musi zostać tutaj, a Kevin i Ellie to nasi najlepsi kierowcy. Poza tym dzielenie się na grupę chłopaków i grupę dziewczyn nie byłoby w porządku. Jeśli dacie radę dotrzeć do Ellie przed świtem, spotkamy się tam z wami. Jeśli do jutra się nie pokażemy, dajcie nam czas do północy, a potem ruszajcie do Piekła. Ukryjcie jeden z samochodów u Ellie, a drugi zostawcie gdzieś na górze, niedaleko Szwu Krawca, a potem zejdźcie na nasze pole biwakowe. Jeśli się uda, dotrzemy tam na własną rękę.

Homer mówił i nerwowo zerkał na drogę. Potem wstał.

– Ten helikopter naprawdę mnie przeraził. Zwijajmy się stąd, a szabrowanie zostawmy na później. Spotkamy się w szopie do strzyżenia owiec. Będziemy musieli zabrać wszystkie rowery. Przydadzą się.

Wziął strzelbę i spojrzał na Corrie, unosząc gęste brązowe brwi. Zawahała się, a potem mruknęła: „Ty to zrób”. Została z nami, a Homer poszedł sam, kierując się ku drzewom na skraju podwórza, gdzie niespokojnie stała krowa. Strzał rozległ się kilka minut później, kiedy bieглиśmy do domku postrzygaczy. Corrie otarła oczy lewą ręką. Drugą trzymała rękę Kevina. Poklepałam ją po plecach, nie mając pojęcia, jak ją pocieszyć. Wiedziałam, jak się czuje. Człowiek bardzo się przywiązuje do krowy, która daje mu mleko. Widziałam tatę, który musiał zastrzelić stare psy, kangury zaplątane w ogrodzenia i zbyt słabe, żeby wstać, owce, których zrobiło się zbyt dużo. Wiedziałam, że dni Millie są policzone. Ale nigdy nie zabiliśmy krowy.

– Mam nadzieję, że mama i tata nie wezmą nam tego za złe – Corrie pociągnęła nosem.

– Mieliby ci za złe, gdybyś potłukła tamtą figurkę – zażartowałam, próbując ją rozweselić.

– Całe szczęście, że gram na pierwszej bazie – powiedział Kevin.

Dobiegliśmy do domku postrzygaczy, a po kilku minutach dołączył do nas Homer. W samą porę. Jakies dziewięćdziesiąt sekund później z zachodu nadleciał czarny odrzutowiec, szybki i śmiertelnie groźny. Wydawał dźwięk gorszy od wszystkich wiertel dentystycznych, jakie kiedykolwiek słyszałam, tysiąc razy głośniejszy. Patrzyliśmy przez małe okienka sypialni postrzygaczy, zbyt zafascynowani i przestraszeni, żeby się poruszyć. Samolot robił wrażenie złowrogiego, diabolicznego. Leciał z wyraźną misją, uparcie, z zimną krwią. Nad drogą trochę zwolnił i lekko zadrżał. Spod skrzydeł wyleciały dwie małe strzałki, dwa okropne czarne przedmioty, które zbliżały się i coraz bardziej rosły. Nadlatywały strasznie szybko. Corrie wydała okrzyk, którego nigdy nie zapomnę, jak zraniony ptak. Jeden z pocisków uderzył w dom i to wystarczyło. Dom rozpadł się jakby w zwolnionym tempie. Zdawał się wisieć w powietrzu, jakby był zabawką, domkiem z klocków lego, który zaraz zostanie rozłożony na części. Potem w środku rozkwitł ogromny pomarańczowy kwiat. Rósł bardzo szybko, aż nie mógł się już zmieścić i rozepchnął dom od środka, robiąc sobie więcej miejsca. I nagle wszystko wybuchło. Cegły, drewno, cynkowana blacha, szkło, meble, jaskrawopomarańczowe płatki kwiatu eksplodowały na wszystkie strony, rozrzucając dom po polu, wieszając go na drzewach, przylepiając do ogrodzenia i wciskając w ziemię. Tam, gdzie przed chwilą stał dom, ziała czarna dziura: żadnych płomieni, tylko dym powoli wznoszący się nad fundamentami. Huk przetoczył się po polach jak grzmot i odbił się echem od wzgórz. Kawałeczki domu zagrzechotały o dach domku postrzygaczy jak grad. Nie mogłam uwierzyć, że tak długo spadają. A potem, kiedy już ustało grzechotanie ciężkich fragmentów, długo opadały lekkie płatki śniegu: kawałki papieru, skrawki materiału, odłamki dachówek delikatnie i spokojnie rozsiewały się po polach.

Drugi pocisk uderzył we wzgórze za domem. Nie jestem pewna, czy był przeznaczony dla domku postrzygaczy, czy nie. Upadł

całkiem niedaleko. Uderzył we wzgórze tak mocno, że zadrżało całe pasmo: nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszeliśmy wybuch i część wzgórza po prostu się zapadła.

Odrzutowiec gwałtownie wzbił się w górę i okrążył przecięte rzeką pole – pewnie po to, żeby obejrzeć efekt i nacieszyć się przedstawieniem. Potem znowu zawrócił, przyspieszył i zniknął w oddali, wracając do swojego cuchnącego legowiska.

Corrie leżała na podłodze, zanosila się płaczem i miotła jak ryba na żyłce. Tęczówki tak bardzo wsunęły jej się pod powieki, że nie było ich widać. Nic nie było w stanie jej uspokoić. Wystraszyliśmy się. Homer pobiegł po wiadro z wodą. Spryskaliśmy jej twarz. To ją trochę uspokoiło. Podniosłam wiadro i wylałam całą zawartość na głowę Corrie. Przestała się zanosić płaczem i tylko pochlipywała, przyciskając głowę do kolan i trzymając się za kostki, cała mokra. Wytarliśmy ją do sucha i przytulaliśmy, ale dopiero po kilku godzinach uspokoiła się na tyle, żeby na nas spojrzeć. Musieliśmy zostać i czekać, z nadzieją, że samoloty nie wrócą, że nie przysła żołnierzy w ciężarówkach. Corrie nie chciała się ruszyć, a my nie mogliśmy się ruszyć bez niej.